

# STEPHEN KING

JAKO RICHARD BACHMAN

REGULATORZY



# Rozdział 1

## **Ulica Topolowa/15.45/15 lipca 1996 roku**

Przyszło lato.

Nie jakieś tam zwykłe lato – nie w tym roku – lecz apoteoza lata, awatar lata, absolutny przebój buchający zielenią w środku lipca; z białym słońcem jarzącym się na tle tego słynnego nieba środkowego Ohio, nieba w kolorze wypłowiałych lewisów, z dzieciakami wydzierającymi się na okrągło w Lasku Niedźwiedzim na wzgórzu, z *puk!* kijów baseballowych Małej Ligi na boisku po drugiej stronie lasu, z warkotem kosiarek, z wyciem sportowych samochodów bez tłumika na autostradzie numer dziewiętnaście, z szumem łyżworolek na betonie chodników i gładkim tłuczniu ulicy Topolowej, z brzęczeniem radia, w którym baseball w wykonaniu Cleveland Indians (rzadkość, mecz w środku dnia) konkuruje z *Nutbush City Limits* w wykonaniu Tiny Turner, co to idzie tak: *Pięćdziesiątka dla pojazdów, dla motocykli zakaz wjazdu* – a to wszystko wykończone, niczym lamówką dźwiękowej koronki, gładkim, jedwabistym poszumem spryskiwaczy na trawnikach.

Lato w Wentworth, miasteczku na obrzeżach Columbus w Ohio, chłopie, ty to czujesz? Lato na ulicy Topolowej, biegnącej przez sam środek tego słynnego, wypłowiałego amerykańskiego snu; z zapachem hot dogów w powietrzu i papierowymi łuskami po fajerwerkach zalegającymi na skraju jezdni od Czwartego Lipca. To upalny lipiec, w pierwszym gatunku, jak Pan Bóg

przykazał, odlotowy lipiec, bez dwóch zdań, choć prawdę powiedziawszy, to również bardzo suchy lipiec – niemal bez deszczu, jeśli nie liczyć rzadkich paroksyzmów węża do podlewania strącających szczątki fajerwerków z trawnika. Może dziś to się zmieni; od zachodu dobiega raz po raz pomruk grzmotu, a ci, co oglądali prognozę na Kanale Pogody (kablówek na Topolowej jest w bród, a jakże), wiedzą już, że po południu spodziewane są burze. Może nawet tornado, choć to już mniej prawdopodobne.

Tymczasem jednak wokół nic, tylko arbuzy i lody na patyku, i kixy na końcu baseballowego kija; chciałeś lata, to je masz, w samym środku Stanów Zjednoczonych Ameryki, życie jak z najskrytszych marzeń, z chevroletami na podjazdach i stekami w zamrażalniku, czekającymi tylko, by je wrzucić wieczorem na grilla za domem (może na deser będzie szarlotka, jak myślisz?). Oto kraina zielonych trawników i starannie utrzymanych klombów; oto Królestwo Ohio, gdzie dzieciaki noszą czapki daszkami do tyłu i krótkie koszulki w paski do workowatych szortów i szurają tymi wielkimi, topornymi adidasami jak w reklamach Nike.

Na tym odcinku Topolowej, który rozciąga się między ulicami Niedźwiedzią, u wierchołka wzgórza, i Hiacyntową, u jego podnóża, stoi jedenaście domów i jeden sklep. Ten ostatni, na rogu Topolowej i Hiacyntowej, to nieśmiertelny amerykański osiedlowy sklep samoobsługowy, do którego idzie się po paczkę marlboro, po butelkę pepsi albo sześć puszek budweisera, po cukierki za centa (dziś to już chyba za dziesięć centów), po sprzęt do grilla (talerzyki papierowe widelce plastikowe chrupki bekonowe lody keczup musztarda przyprawy), po lody na patyku i po soczek Snapple w „szerokim asortymencie produkowanym ze składników w najlepszym gatunku”. Na stoisku z prasą, jeśli chcesz, możesz tu nawet kupić „Penthouse’a”, ale trzeba poprosić kasjerkę; w Królestwie Ohio czasopisma z golizną trzyma się najczęściej pod ladą. I jest to absolutnie w porządku, a co! Ważne, że wiadomo, gdzie w razie potrzeby można je dostać.

Dziś jest nowa kasjerka; pracuje tu dopiero od tygodnia i w tej

chwili, o piętnastej czterdzieści pięć, czeka, by obsłużyć dziewczynkę i chłopca. Dziewczynka ma jakieś jedenaście lat i powoli zaczyna przeistaczać się w piękność. Chłopiec, z pewnością jej braciszek, jest sześciolatkiem i zaczyna (przynajmniej zdaniem kasjerki) przeistaczać się powoli w pierwszej klasy gnojka.

– Ja chcę dwa batony! – oznajmia Gnojkwaty Braciszek.

– Starczy nam tylko na jeden, jeżeli chcemy sobie kupić picie – tłumaczy mu Śliczna Siostrzyczka z cierpliwością, zdaniem kasjerki, godną podziwu.

Gdyby to był jej braciszek, najchętniej zasunęłaby smarkaczowi takiego kopa, żeby mu tyłek przeskoczył na plecy; mógłby wtedy zagrać dzwonnika z Notre Dame w teatrzyku szkolnym.

– Mamusia ci rano dała pięć docłów, widziałem – mówi gnojek. – Gdzie masz resztę, Margocha?

– Nie nazywaj mnie tak, nienawidzę tego – odpowiada dziewczynka.

Ma długie miodowoblond włosy, które, zdaniem kasjerki, są absolutnie przepiękne. Ona sama nosi krótką odlotową fryzurę: ufarbowała włosy z lewej strony na pomarańczowo, z prawej na zielono. Zdaje sobie doskonale sprawę, że gdyby kierownik sklepu nie potrzebował na gwałt kogoś, kto zgodzi się pracować od jedenastej do dziesiętnastej, z takimi włosami nie dostałaby tu roboty – jej szczęście, jego pech. Wydusił z niej zresztą obietnicę, że przykryje te kolorki czapczką baseballową, ale obietnice są po to, żeby je łamać. A teraz Śliczna Siostrzyczka przygląda się jej fryzurze z pewną fascynacją.

– Margocha, Margocha, Margocha! – skrzeczy chłopiec i rozpiera go typowa właśnie dla takich braciszków złośliwa radość.

– Naprawdę mam na imię Ellen – mówi dziewczynka takim tonem, jakby powierzała komuś wielką tajemnicę. – Margaret mam na drugie. On specjalnie tak na mnie mówi, bo wie, że tego nienawidzę.

– Miło mi cię poznać, Ellen – odpowiada kasjerka i zaczyna sumować zakupy dziewczynki.

– Miło mi cię poznać, Margocha! – przedrzeźnia ją gnojek i wykrzywia twarz w grymasie tak ohydny, że aż śmiesznym. Marszczy nos, robi zeza. – Miło mi cię poznać, Margocha-Gliździocha!

– Masz piękne włosy – mówi Ellen, nie zwracając na niego uwagi.

– Dzięki. – Nowa kasjerka się uśmiecha. – Nie są tak ładne, jak twoje, ale ują. Dolar czterdzieści sześć.

Dziewczynka wyciąga z kieszeni džinsów małą plastikową portmonetkę na drobniaki. Taką zamykaną na zatrask. W środku są dwa pomięte banknoty dolarowe i kilka pensów.

– Zapytaj się Margochy-Gliździochy, na co wydała tamte trzy dolce! – trąbi gnojek. Drze się jak megafon na dworcu. – Kupiła sobie pismo z Braaadem Piiittem na okładce!

Ellen nadal stara się go ignorować, choć policzki już jej lekko poczerwieniały. Podaje kasjerce dwa dolary i mówi:

– Chyba pierwszy raz cię tutaj widzę.

– Chyba tak; zaczęłam w zeszłą środę. Potrzebowali kogoś na cały dzień i jeszcze na zastępstwo, jeżeli chłopak z nocnej zmiany się spóźni.

– Fajnie, że cię poznałam. Jestem Ellie Carver. A to mój braciszek, Ralph.

Ralph Carver pokazuje język i wydaje taki dźwięk jak osa, która wpadła do słoika z majonezem. Jakież to miłe stworzonko, myśli młoda kobieta o dwukolorowych włosach.

– Cynthia Smith. – Wyciąga ponad kontuarem dłoń do dziewczynki. – Cynthia, w żadnym wypadku nie Cindy. Zapamiętasz?

– To tak samo jak ze mną: Ellie, w żadnym wypadku nie Margaret. – Tamta kiwa z uśmiechem głową.

– Margocha-Gliździocha! – wrzeszczy oszalały z uciechy sześciolatek. Unosi ręce i kołysze się w biodrach; jego radość życia to czysta trucizna. – Margocha-Gliździocha, Braaada Piiitta kocha!

Ellen posyła Cynthii dorosłe, zmęczone życiem spojrzenie,

oznajmiające: Widzisz, przez co ja muszę przechodzić. Cynthia też ma młodszego brata i doskonale wie, przez co musi przechodzić Ellie. Ma ochotę wybuchnąć śmiechem, ale udaje jej się zachować powagę. I dobrze. Dziewczynka jest więźniem swego czasu i wieku. Jak każdy. A to znaczy, że traktuje to wszystko niezmiernie poważnie. Ellie podaje bratu puszkę pepsa.

– Baton podzielimy na ulicy – mówi.

– Pociągniesz mnie w Busterze – oznajmia Ralph, gdy ruszają do drzwi i wchodzą w prostokąt słonecznego światła wpadającego przez szybę niczym płomień. – Pociągniesz mnie w Busterze aż do samego domu.

– Akurat, cholera jasna – odpowiada Ellie, lecz gdy otwiera drzwi, Gnojkwaty Braciszek odwraca się i posyła Cynthii cwane spojrenie, które mówi: Jeszcze zobaczymy, kto wygra. Zaraz się przekonamy. Potem wychodzą.

Lato. Tak, lato. Ale nie jakieś tam; mówimy tutaj o piętnastym lipca, o samej kalenicy lata w miasteczku w stanie Ohio, gdzie większość dzieci uczęszcza do wakacyjnej szkoły biblijnej i bierze udział w letnim programie czytelnictwa w bibliotece publicznej i gdzie jedno z nich właśnie dostało czerwony samochodzik na pedały, który nazwało (z sobie tylko wiadomych powodów) Busterem. Jedenaście domów i jeden sklep samoobsługowy smaży się w tym środkowozachodnim lipcowym skwarze; jest trzydzieści pięć stopni w cieniu, czterdzieści w słońcu, powietrze tak nagrzane, że drga nad ulicą jak nad otwartym paleniskiem.

Ten odcinek ulicy biegnie wzdłuż osi północ-południe, nieparzyste numery po stronie Los Angeles, parzyste po nowojorskiej. Na zachodnim rogu Topolowej i Niedźwiedziej jest numer dwieście pięćdziesiąt jeden. Przed domem stoi Brad Josephson i podlewa wężem rabatki przy ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi. Ma czterdzieści sześć lat, przepysznie czekoladową skórę i wydatne brzuszysko. Ellie Carver uważa, że jest podobny do Billa Cosby'ego... trochę podobny w każdym

razie. Brad i Belinda Josephsonowie to jedyni czarni w tym kwartale domów, więc pozostali mieszkańcy są cholernie dumni, że mają ich za sąsiadów. Wyglądają dokładnie tak, jak, zdaniem mieszkańców domków na przedmieściu w Ohio, powinni wyglądać miejscowi czarni – gdy się ich widzi w dzielnicy, człowiek czuje, że wszystko jest na swoim miejscu. To bardzo mili ludzie. Wszyscy lubią Josephsonów.

Zza rogu wyjeżdża na rowerze Cary Ripton, który w poniedziałkowe popołudnia rozwozi „Shoppera”, lokalny tygodnik. Rzuci Bradowi zwinięty w rurkę egzemplarz, a Brad łapie go zręcznie tą ręką, która nie trzyma węża. Ani przy tym drgnie. Tylko ręka w górę, i ciach, jest.

– Bravo, panie Josephson! – woła Cary i pedałuje dalej w dół wzgórza z płócienną torbą objającą mu się o biodro.

Ma na sobie za dużą sportową koszulkę z napisem „Orlando Magic” i numerem trzydzieści dwa, numerem Shaque’a O’Neilla.

– A co, ma się jeszcze ten chwyt – odpowiada Brad i wtyka końcówkę węża pod pachę, żeby otworzyć tygodnik i zobaczyć, co jest na pierwszej stronie.

Na pewno te same pierdoły, co zwykle – przechwałki władz miejskich i ogłoszenia o wyprzedażach garażowych – ale i tak chce to przeczytać. Człowiek już taki jest – uważa Brad. W domku naprzeciwko, pod dwieście pięćdziesiątym, siedzi na frontowych schodkach Johnny Marinville i gra na gitarze, podśpiewując sobie. Nuci jedną z najgłupszych piosenek świata, ale gra całkiem niezłe i choć nikt go nigdy nie pomyli z Marvinem Gaye’em (albo Perrym Como, na przykład), potrafi zagrać piosenkę czysto i w całości. Trochę to zawsze irytuje Brada, gdyż jego zdaniem ktoś, kto jest w czymś dobry, powinien na tym poprzestać i dać sobie spokój z innymi rzeczami.

Cary Ripton, ostrzyżony na rekruta czternastolatek, jest rezerwowym na trzeciej bazie w Hawks, baseballowej drużynie sponsorowanej przez kombatantów z American Legion z Wentworth (dwa mecze przed końcem sezonu mają punktację

14:4). Rzuca teraz kolejny egzemplarz „Shoppera” na ganek numeru dwieście czterdzieści dziewięć, do Soderonów. Tak jak Josephsonowie są Miejscowym Murzyńskim Marzeństwem, tak Soderonowie – Gary i Marielle – są Miejscową Cyganerią. W skali lokalnej opinii publicznej równoważą się całkiem nieźle. Gary to, ogólnie biorąc, facet bardzo uczynny i lubiany przez sąsiadów, mimo że jest praktycznie przez cały czas pod muchą. Marielle jednakże... no cóż, jak to powiedziała kiedyś Kirstie Carver, „na określenie takich kobiet jak Marielle istnieje pewne słowo; rymuje się ono z nazwą pewnego robaka”.

Cary zalicza znakomite trafienie z odbicia, „Shopper” rykoszetuje o drzwi Soderonów i ląduje na wycieracze; nikt jednak nie wychodzi po gazetę. Marielle jest na górze, pod prysznicem (już drugim dzisiaj; nienawidzi takiej lepkiej pogody), Gary zaś na podwórku za domem, nieobecny myślami, nakłada węgiel do grilla, aż brykietów jest tyle, że można by usmażyć bawołu. Ma na sobie fartuszek z napisem: MOŻESZ POCAŁOWAĆ KUCHARZA. Na steki jest jeszcze za wcześnie, ale nie za wcześnie na przygotowania. Pośrodku podwórka Soderonów stoi ogrodowy stolik z parasolem, a na nim przenośny barek Gary’ego: butelka oliwek, butelka ginu, butelka wermutu. Butelka wermutu jest nieotwarta. Przed nią stoi podwójne martini. Gary przerywa zasypywanie grilla, podchodzi do stołu i wychyla to, co zostało w szklance. Jest zdecydowanym zwolennikiem martini, zwykle koło szesnastej już nieźle podciętym, jeśli tylko nie ma potem lekcji. Dziś nie inaczej.

– No dobra – mówi Gary. – Następnym razem, proszę.

I przyrządza sobie kolejne Martini Soderona. Robi to tak: a) nalewa trzy czwarte szklaneczki bombajskiego ginu; b) wrzuca oliwkę amati; c) stuka brzegiem szklanki o nieotwartą butelkę wermutu; na szczęście.

Smakuje drinka, przymyka powieki; smakuje jeszcze raz. Jego oczy, dobrze już przekrwione, otwierają się. Gary się uśmiecha.

– Tak jest, panie i panowie – zwraca się do rozprażonego



upałem podwórka. – Mamy już zwyciężę!

Z oddali dociera do niego, poprzez inne odgłosy lata – dzieciaki, kosiarki, spryskiwacze, brzęczenie owadów w spalonej słońcem trawie – dźwięk gitary pisarza, słodki i łagodny. Gary rozpoznaje utwór niemal natychmiast i tańcząc wokół kręgu cienia rzucanego przez parasol, ze szklaneczką w ręce, podśpiewuje: *Pocałuj mnie i uśmiechnij się... Powiedz, że będziesz na mnie czekać... Przytul mnie, bym nie mógł już uciekać...*

Fajny kawałek, jeszcze z czasów, nim ktokolwiek pomyślał o istnieniu bliźniaków Reedów (dwa domy dalej), nie mówiąc już o ich urodzeniu. Przez moment uderza go poczucie realności przemijania, tak absolutnie nieodwołalnego. Kłuje bezlitośnie w uszy wraz z melodią piosenki. Gary pociąga kolejny spory łyk martini i zastanawia się, co robić dalej, skoro grill już gotowy do rozpalenia. Wśród innych odgłosów słyszy również prysznic na górze i wyobraża sobie pod nim nagą Marielle, która jest zdziłą, jakiej świat nie widział, ale ciało utrzymuje w dobrej formie. Widzi, jak namydla sobie piersi, może nawet pieści kolistymi ruchami palców sutki, aż stają się twarde. Ona oczywiście nie takiego, psiakrew, nie robi, ale takie wyobrażenia mają to do siebie, że nie chcą zniknąć, dopóki się ich jakoś nie skasuje. Gary postanawia zostać dwudziestowiecznym wcieleniem świętego Jerzego: zamiast zarżnąć smoka, po prostu go zerżnie. Odstawia szklaneczkę na stolik i rusza ku domowi.

A co tam, jest lato, lato, la-la-lato i na Topolowej życie sobie płynie. Jak w *Summertime* Gershwina.

Cary Ripton sprawdza w lusterku, czy nic nie jedzie, ale nie, więc skręca na drugą stronę ulicy do domu Carverów. Pana Marinville'a pomija, ponieważ na samym początku lata pan Marinville dał mu pięć dolarów, żeby nie dostarczał mu „Shoppera”.

„Błagam, Cary – powiedział, utkwivszy w nim poważne spojrzenie. – Nie jestem w stanie czytać o otwarciu kolejnego supermarketu albo o konkursie dla klientów. To mnie zabija”.

Cary nie pojmuje zachowania pana Marinville'a ani odrobinę,

ale to miły człowiek. Poza tym pięć docłów to pięć docłów.

Drzwi pod dwieście czterdziestym ósmym otwiera pani Carver i gdy Cary rzuca gazetę, kobieta macha do niego ręką. Próbuje złapać „Shoppera” w powietrzu, nie trafia i wybucha śmiechem. Cary jej wtóruje. Pani Carver nie ma może refleksu czy chwytu Brada Josephsona, ale jest ładna, a także bardzo fajna. Jej mąż ubrany w klapki i kąpielówki myje za domem samochód. Kącikiem oka spostrzega Cary’ego, odwraca się i celuje w niego palcem. Cary odpowiada tym samym i udają, że strzelają do siebie. Pan Carver stara się na swój niezdarny sposób też być fajnym gościem, a Cary to szanuje. David Carver pracuje na poczcie, teraz chyba ma urlop. Chłopiec przysięga sobie w duchu: jeżeli będzie musiał pójść do etatowej pracy, kiedy dorośnie (wie, że niektórym to się przytrafia, podobnie jak cukrzyca i niewydolność nerek), nigdy nie będzie spędzał wakacji w domu, myjąc przed garażem samochód.

Zresztą nie będę miał samochodu, myśli. Tylko motocykl. I nie japoński. W grę wchodzi wyłącznie stalowy amerykański rumak jak ten harley davidson, którego trzyma w garażu pan Marinville.

Chłopak zerka znów w lusterko i spostrzega za domem Josephsonów, na Niedźwiedziej, coś jaskrawoczerwonego – wygląda to na furgonetkę zaparkowaną tuż za zachodnim rogiem ulicy – a potem znów przejeżdża na drugą stronę. Tym razem pod dwieście czterdzieści siedem, dom Wylerów.

Spośród zamieszkanym domów przy Topolowej (dwieście czterdzieści dwa, niegdyś dom Hobartów, stoi pusty) tylko ten należący do Wylerów nosi ślady podniszczenia. To mały domek w stylu ranczerskim, któremu przydałoby się malowanie, a jego podjazdowi nowa nawierzchnia. Na trawniku kręci się spryskiwacz, widać jednak, że trawa ucierpiała tu od upału i suszy w stopniu większym niż przed innymi domami (łącznie, mówiąc szczerze, z domem Hobartów). Pożółkłe placki są na razie nieduże, lecz wciąż się powiększają.

Ona nie rozumie, że sama woda nie wystarczy, myśli Cary,

sięgając do torby po kolejny egzemplarz zwiniętego ciasno „Shoppera”. Jej mąż by rozumiał, ale...

Nagle uzmysławia sobie, że pani Wyler (domyśla się, że do wdów należy się nadal zwracać per pani, nie panna) stoi za siatkowymi drzwiami i coś w widoku jej ledwie dostrzegalnej sylwetki uderza go z wielką siłą. Rower chybotnie się chwilę i kiedy Cary rzuca gazetę, jego celna zwykle ręka pułkuje zdecydowanie. „Shopper” ląduje w koronie jednego z krzewów przy schodkach. Chłopak nienawidzi czegoś takiego, po prostu nienawidzi, to całkiem jak w jakimś kretyńskim serialu, w którym gazeciarka zawsze wrzuca swojego „Gońca Codziennego” na dach albo trafia w szybę – ha, ha, ha, gazeciarka celny jak dziad kościelny, ale numer! Innym razem (lub w innym domu) Cary próbowałby naprawić błąd... może nawet podniósłby gazetę i podał kobiecie, i ukłon, i uśmiech, i życzę miłego dnia. Ale nie dziś. Nie podoba mu się tutaj. Może to coś w jej postawie, w tym, jak stoi nieruchomo za drzwiami: ramiona opuszczone, ręce wiszące niczym zabawka bez baterii. Ale nie tylko dlatego coś nie gra. Nie widać jej stąd za dobrze, ale Cary ma wrażenie, że pani Wyler jest od pasa w górę naga, że stoi tam ubrana tylko w szorty. Stoi i wgapia się w niego.

Wcale go to nie podnieca. Raczej przyprawia o dreszcz.

A ten dzieciak, co u niej mieszka, jej bratanek, taki szczerowaty, też jest jakiś dziwny. Nazywa się Seth Garland czy Garin, czy jakoś tak. Nigdy nic nie mówi, nawet jeśli go o coś zapytać. „Hej, siemasz! Podoba ci się u nas? Myślisz, że Indians wejdą znów do finału?” – a ten tylko patrzy tymi swoimi oczami koloru błota. Patrzy tak właśnie, jak pani Wyler, zwykle taka miła, patrzy teraz na niego. Cary to czuje. *Chodź do mnie muszko, powiem ci coś na uszko – rzecze pajak.* Coś w tym stylu. Jej mąż zmarł w zeszłym roku (gdzieś tak w tym samym czasie, gdy zaczęły się problemy Hobartów i musieli się wyprowadzić, uzmysławia sobie chłopiec), a ludzie gadali, że to nie był wypadek. Ludzie gadali, że Herb Wyler, który zbierał minerały i podarował kiedyś Cary’emu

wiatrówkę, popełnił samobójstwo.

Ciarki – w taki gorący dzień jakoś podwójnie napędzające stracha – przebiegają mu po plecach i gazeciarz, zerknąwszy jeszcze raz w lusterko, wraca na parzystą stronę ulicy. Czerwona furgonetka nadal stoi na rogu Topolowej i Niedźwiedziej (fajny wózek, myśli Cary), lecz teraz ulicą jedzie jeszcze coś: niebieska honda acura, którą Cary rozpoznaje z daleka. To pan Jackson, kolejny nauczyciel z ich ulicy. Profesor Jackson albo może tylko docent. Wykłada na uniwersytecie stanowym Ohio, kasztan jeden\*. Jacksonowie mieszkają pod dwieście czterdziestym czwartym, numer dalej niż kiedyś Hobartowie. Mają najładniejszy dom na całej ulicy, przestronny, w stylu nadmorskim, z żywopłotem od dołu zbrocza i wysokim płotem z cedrowych sztachet od góry, od strony posesji starego weterynarza.

– Te, Cary! – woła Peter Jackson, zatrzymując się koło niego. Ma wyblakłe dzinsy i koszulkę z wielką, żółtą uśmiechniętą buźką. MIŁEGO DNIA! – mówi uśmiechnięta buźka. – Jak tam leci, chuliganie? – pyta pan Jackson z hondy.

– Świetnie – odpowiada Cary z uśmiechem. Zastanawia się, czy nie dodać: „Poza tym, że pani Wyler stoi w drzwiach bez bluzki”, ale nie dodaje. – Wszystko super.

– A jak mecze?

– Na razie tylko dwa, ale nie ma sprawy. Wczoraj miałem parę wejść, dziś też mnie pewnie wpuszczą kilka razy. Na więcej zresztą nie liczyłem. Ale wie pan, Frank Albertini gra ostatni sezon. – Cary podaje mu zwinięty egzemplarz tygodnika.

– Zgadza się. – Peter bierze od niego gazetę. – A za rok przyjdzie kolej, żeby *monsieur* Cary Ripton dał gościom popalić na trzeciej bazie.

Chłopiec parska śmiechem, ubawiony dosłownym wyobrażeniem siebie stojącego na trzeciej bazie w kostiumie legionu i częstującego zawodników przeciwnika papierosami.

---

\* Kasztan jest godłem stanu Ohio.

– Uczy pan znów w tym roku na letnich kursach? – pyta.  
– Jasne. Dwie grupy. Dramaty historyczne Szekspira oraz James Dickey i nowy realizm Południa. Interesuje cię?

– Chyba sobie odpuszczę.

– Odpuszczaj, odpuszczaj – Peter poważnie kiwa głową – to nie będziesz już w ogóle musiał chodzić na letnie kursy. – Klepie się po uśmiechniętej buźce na koszulce. – Gdzieś tak od czerwca pozwalają luźniej się ubierać, ale i tak te letnie szkółki to udręka. Zawsze tak było. – Rzuca „Shoppera” na siedzenie obok i przestawia dźwignię automatycznej skrzyni acury na DRIVE. – Tylko nie dostań zawału, jak tak posuwasz po dzielnicy z tymi gazetami.

– Nie ma strachu. Później chyba będzie padać. Cały czas słyszę grzmoty.

– No, mówili w tele... Uważaj!!!

Tuż obok nich przelatuje w pogoni za czerwonym frisbee wielka futrzana kula. Cary traci równowagę i opiera się razem z rowerem o auto Jacksona. Hannibal, owczarek niemiecki, muska go tylko ogonem i pędzi dalej za latającym dyskiem.

– Jego by trzeba ostrzec przed zawałem – stwierdza Cary.

– Może i racja – mówi Peter i powoli odjeżdża.

Cary przygląda się Hannibalowi, który dopada frisbee na chodniku po drugiej stronie i odwraca się, trzymając je w zębach. Na szyi ma zawiązaną zabawnie kowbojską bandanę i wygląda tak, jakby szczyrzył pysk w uśmiechu.

– Przynieś, Hannibal! – woła Jim Reed.

– No już, Hannibal – dołącza się jego bliźniak, Dave. – Nie bądź świnią! Przynieś! Daj to!

Hannibal stoi sobie przed dwieście czterdziestym szóstym, naprzeciwko Wylerów, z frisbee w pysku i macha powoli ogonem. Uśmiech ma coraz szerszy.

Bliźniaki Reedów mieszkają pod dwieście czterdziestym piątym, dom za panią Wyler. Stoją na brzegu swojego trawnika (jeden blondyn, drugi ciemny, obaj wysocy i zgrabni, w kusych koszulkach

i identycznych szortach od Eddiego Bauera) i wpatrują się w Hannibala. Za nimi stoją dwie dziewczyny. Jedna z nich to Susi Geller, sąsiadka. Ładna, ale nie laska, rozumiesz. Druga natomiast, rudawa, o długich nogach, to inna historia. Jej zdjęcie mogłoby ilustrować w encyklopedii hasło „laska”. Cary jej nie zna, ale chciałby znać – jej nadzieje, marzenia, plany i fantazje. Szczególnie to ostatnie. Nie w tym życiu, myśli sobie. Cipeńka jest prawie dorosła. Ma z siedemnaście lat jak nie więcej.

– Oj, kotuś! – mówi Jim Reed, po czym zwraca się do swego ciemnowłosego brata: – Teraz ty przynosisz.

– Nigdy w życiu, na pewno całe zaślinił – oznajmia Dave Reed.  
– Hannibal, bądź grzecznym psem i przynieś to zaraz!

Pies stoi nadal na chodniku przed domem Doktora i szczerzy zęby. Niach-niach – mówi, nie odzywając się wcale; jego uśmiech i poruszający się z królewskim spokojem ogon wyrażają wszystko. Niach-niach, wy macie dziewczyny i szorty od Bauera, a ja mam wasze frisbee, całe już mokre od psiej śliny, co leci mi z pyska, i moim zdaniem to ja tutaj jestem Królem Puszczy.

Cary sięga do kieszeni i wyciąga torebkę słonecznika – jak się siedzi na ławce rezerwowych, odkrył niedawno – słonecznik bardzo pomaga zabić czas. Zyskał już całkiem niezłą wprawę w rozłupywaniu słonecznika zębami i przeżuwaniu smakowitych ziarenek jednocześnie z pluciem łuskami na splekaną podłogę wiaty dla rezerwowych z szybkością karabinu maszynowego, prawie jak pierwszolicowiec.

– Kryję go! – woła Cary do bliźniaków w nadziei, że jego bohaterstwo w poskramianiu zwierząt zrobi wrażenie na rudowłosej, choć wie, że to idiotyczne marzenie, jak przystało zresztą na chłopaka po pierwszej klasie liceum.

Ale ona w tych białych szortach z mankietami wygląda tak cudownie, że zmiłuj się panie Boże, a zresztą co to szkodzi sobie pomarzyć.

Opuszcza torebkę słonecznika na poziom psiego pyska i szeleści celofanem. Hannibal podchodzi natychmiast, wciąż trzymając w

wyszczerych zębach czerwone frisbee. Cary wysypuje na dłoń parę ziarenek.

– Dobry Hannibal – mówi. – Dobre nasionka. Oto słonecznik, uwielbiany przez psy na całym świecie. Spróbuj, a kupisz na pewno.

Hannibal przygląda się ziarenkom jeszcze przez chwilę, z drgającymi nieznacznie nozdrzami, po czym upuszcza frisbee na jezdnię i pochłania słonecznik z dłoni Cary'ego. Chłopiec, szybki jak okamgnienie, pochyla się, łapie frisbee (trochę oślinione na brzegach) i rzuca je w stronę Jima Reeda. To piękny, płynny rzut, Jim może złapać dysk, nie robiąc kroku. I oto, o Boże, o Jezu, rudowłosa bije brawo, podskakując radośnie wraz z Susi, a jej cycuszki (małe, ale jakże smakowite) pod wiązaniem topem podskakują razem z nią. O dzięki ci, Panie, dzięki wielkie, mamy teraz w naszej bazie danych materiały na co najmniej tydzień koniobójstwa.

Uśmiechnięty szeroko, nie mając pojęcia, że umrze jako prawiczek i rezerwowo zarazem, Cary ciska „Shoppera” na werandę Toma Billingsleya (zza domu dochodzi warkot kosiarki Doktora) i wraca przez ulicę ku trawnikowi Reedów. Dave odrzuca frisbee do Susi Geller i łapie gazetę w locie.

– Dzięki za odzyskanie frisbee – mówi.

– Nie ma sprawy. Kto to? – Cary wskazuje głową rudowłosą.

– Nieważne, maleńki. – Dave śmieje się bez złośliwości. – Nawet nie pytaj.

Cary rozważa, czyby jeszcze nie nacisnąć, lecz decyduje się dać spokój, póki jeszcze jest gorą – w końcu to on odzyskał frisbee i jemu biła brawo, a na widok tych jej podskoków zeszytniałaby chyba nawet gotowany makaron. Jak na takie gorące popołudnie w środku lata to aż za wiele.

W gorze ulicy, za ich plecami, czerwona furgonetka powoli rusza.

– Przyjdiesz dzisiaj na mecz? – pyta Cary Dave'a. – Gramy z Columbus Rebels. Powinno być niezłe.

– A ty zagrasz?

– Na pewno wejść kilka razy na bazę i może z raz na uderzającego.

– To chyba nie przyjdę – mówi Dave i ryczy ze śmiechu, aż Cary się krzywi.

Bracia Reed wyglądają może w tych swoich koszulkach i szortach niczym młodzi bogowie, myśli, ale jak już otworzą gębę, zaczynają podejrzanie przypominać Strasznych Bliźniaków z telewizji.

Cary zerka ku domowi na rogu Topolowej i Hiacyntowej, naprzeciwko sklepu. Ostatni dom po lewej, całkiem jak w horrorze pod takim właśnie tytułem. Na podjeździe nie ma auta, ale to nic nie znaczy; może stać w garażu.

– On jest? – pyta Dave’a, wysuwając brodę w stronę numeru dwieście czterdzieści.

– A bo to wiesz? – mówi Jim, podchodząc do nich. – Nigdy nie wiadomo, nie? Dlatego właśnie jest taki dziwny. Co drugi raz zostawia samochód w garażu i zasuwa do Hiacyntowej przez lasek. Pewnie jedzie autobusem tam, dokąd jedzie.

– Boisz się go? – pyta Dave Cary’ego. Jeszcze nie kpiąco, ale prawie.

– Co ty, kurde – odpowiada wyluzowany Cary, patrząc na rudowłosą i wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby trzymał takie stworzenie w ramionach, gładkie i jędrne, jak by mu stanął, jak by mu wsunęła języczek... Nie w tym życiu, pimpsuś, upomina się znów w myśli.

Macha jej ręką na do widzenia, na zewnątrz obojętny, w środku przepełniony radością, bo ona odmachuje, i odjeżdża skosem w stronę Topolowej dwieście czterdzieści. Zaraz ciśnie „Shoppera” na ganek, jak wszędzie, a potem – jeżeli tylko ten szurnięty były glina nie wyskoczy przed dom z pianą na pysku i spojrzeniem jak po LSD, może nawet wymachując pistoletem albo maczetą, albo Bóg wie czym – skoczy sobie naprzeciwko do E-Z Stop na jakies picie, by uczcić kolejne szczęśliwe ukończenie trasy: Anderson Avenue do Columbus Broad, Columbus Broad do Niedźwiedziej,



Niedźwiedzią do Topolowej. A potem do domu, przebrać się w strój i hajże na wojny baseballowe.

Najpierw jednak trzeba zaliczyć dwieścieczterdziestkę, dom byłego policjanta, który podobno stracił pracę za pobicie kilku niewinnych chłopaków z North Side. Myślał, że zgwałcili dziewczynkę. Cary nie ma pojęcia, czy ta historia jest prawdziwa – w gazetach nigdy nic o tym nie wyczytał – ale widział jego oczy; było w nich coś takiego, czego nie widział w żadnych innych, jakaś taka pustka, że ma się ochotę jak najszybciej (ale nie tak, żeby wyjść na palanta) odwrócić głowę.

W górze ulicy czerwona furgonetka – jeżeli to furgonetka, bo taka jest odpicowana i nietypowa, że właściwie nie wiadomo – skręca w Topolową. Zaczyna nabierać szybkości. Odgłos jej silnika brzmi jak miarowy, jedwabisty szept. A na dachu, jak rany, ma jakiś chromowany gadżet!

Johnny Marinville przerywa grę i patrzy na przejeżdżający samochód. Wnętrza nie widać, bo ma odblaskowe szyby, ale to coś na dachu wygląda jak chromowana czasza radaru, niech to szlag, jeśli nie. Czy to CIA zawitało na Topolową? Po drugiej stronie Johnny widzi Brada Josephsona, który wciąż stoi na trawniku z węzłem pod pachą i gazetą w ręce. Brad także ze zdumieniem i zaciekawieniem gapi się na furgonetkę (ale czy to furgonetka, czy coś innego?).

Czerwień lakieru i chromy spod ciemnych okien auta rzucają igielki słonecznego blasku, tak ostre, że Johnny aż mruży oczy.

Po sąsiedzku David Carver nadal myje samochód. Z wielkim entuzjazmem, trzeba mu to przyznać. Ten jego chevrolet aż tonie w kłębach piany.

Czerwona furgonetka mija go, skrząc się w słońcu i pomrukując cichutko.

Bliźniaki Reedów przerywają zabawę i wraz ze swymi przyjaciółkami obserwują toczący się teraz powoli pojazd. Młodzież tworzy czworokąt, w środku siedzi Hannibal i sapie uszczęśliwiony, czekając na kolejną szansę chapnięcia frisbee.